

starczyłoby mu więc wyzwać pod jakimkolwiek pretekstem rywala i załatwić się z nim honorowo.

— To prawda.

— Pozostają więc ci, którzy już rewidowali szafę z dokumentami, którzy przekupili Raynanda.

— Złe zrobiliśmy, drogi panie, że dotąd nie zmieniliśmy zamku w tej szafie — wtrącił minister.

Detektyw skłonił się na znak zgody i ciągnął.

— Już po aresztowaniu Raynanda zastałem przy szafie bandytę, który wówczas umknął. Teraz znowu znikły z tej szafy dokumenty, które znalazłem w kieszeni rannego.

— Więc to Simonet dostarczył ich szpiegom?

— Nie, panie ministrze. Jak już powiedziałem, chciano nam pokazać, że chociaż Raynaud jest w więzieniu, jednakże można się dostać do ministerium. Dlatego też wsunęto pańskiemu podwładnemu te papiery do kieszeni i dlatego raniono go, żebyśmy je mogli znaleźć. Takie jest moje zdanie, panie ministrze.

Pan Desbois Billy wydał okrzyk radości.

— Dziękuję, drogi panie, dziękuję! Jakąż ulgę sprawił mi pan temi słowami! Byłem zupełnie zgnębiony przypuszczeniem, że Simonet mógł... Teraz musimy wyjaśnić tę sprawę do końca, musimy oczyścić honor Simonet'a.

— Sądzę, że pan Simonet nie wiedział nawet, że miał te papiery w kieszeni. Ten punkt musimy przedewszystkiem wysświetlić.

— Tak jest.

— Pan miał zamiar, panie ministrze, odwiedzić teraz chorego. Sądzę, że jest on dosyć silny, żeby móżd odpowiadać na pytania.

— Mam nadzieję i liczę na to, że w paru słowach powie nam całą prawdę.

— Proszę mi zrobić zaszczyt, panie ministrze i pozwolić sobie towarzyszyć i upoważnić mnie do zadania choremu w swojej obecności paru pytań, które nie zmęczą go, a dadzą nam potrzebne wyjaśnienia.

— Ależ z przyjemnością, drogi panie, pozwolę sobie nadto zaprosić pana do mego automobilu.

## I OZDZIAŁ XVI.

Gdy minister, stojąc przed drzwiami mieszkania Simonet'a, chciał zadzwonić, detektyw powstrzymał go.

— Przepraszam, panie ministrze — chwileczkę.

Minister opuścił wyciągniętą do dzwonka rękę, Paulin Broquet zaś począł wachać powietrze. Zbliżył nos do dzwonka, do klamki...

— Czy pan nic nie czuje, panie ministrze?

Minister począł naśladować detektywa:

— Hm... — rzekł wreszcie — czuję zapach kobiecych perfum! Ale to jest bardzo naturalne, stoimy przed mieszkaniem młodego człowieka.

— Tak. Ale to jest zapach specyjalny. Czy go pan sobie nie przypomina?

— Nie.

— Widocznie mój węch jest fachowo wyculony. Ten zapach może nam ułatwić zadanie. Wejdźmy, panie ministrze, powinniśmy ją tu zastać.

Zadzwoniono. Po chwili lokaj Simonet'a otworzył drzwi. Gdy weszli, Paulin Broquet pochwycił służącego za ramiona i szybko zapytał:

— Ona tu jest?

— Kto taki, proszę pana?

— Ona!

— Ona? Nie rozumiem!

— Tylko bez sekretów! Ona, młoda kobieta, blondyna, która przyszła tu niedawno... Czy jest jeszcze?

— Było tu dziś dużo pań, nie wiem, o której pan mówi.

Paulin Broquet nie nastawał.

— Zapytaj, czy p. Simonet może przyjąć pana ministra.

Służący odszedł. Wówczas detektyw zamknął drzwi wchodowe na klucz, który z całym spokojem schował do kieszeni.

— Teraz ptaszek jest w klatce! — rzekł.

Począł znowu wachać. Podszedł znowu do konsoli, na której leżał kawał bibułki, w jakie zawiązały kwiaty. Wziął go do ręki i powąchał.

— Dobrze! — rzekł — Niema wątpliwości. Zechce pan powąchać, panie ministrze! Nie poznaje pan jeszcze tego zapachu!

— Doprawdy, nie przypominam sobie.

W tej chwili ukazał się służący oznajmiając, że pan Simonet z radością przyjmie pana ministra. Paulin Broquet schował szybko bibułkę do kieszeni. Poczem rzekł szeptem do ucha panu Desbois Billy:

— Tak samo pachniała koperta z dokumentami, którą znalazłem w kieszeni Simonet'a.

Minister zadrżał. Chciał mówić, pytać, ale już wchodzili do pokoju chorego, który okazywał wielką radość z wizyty. Pan Desbois-Billy zbliżył się do łóżka i opanowując siłą woli wzruszenie, uściśnął mocno dłoń Simonet'a.

— Nasz dzielny Paulin Broquet towarzyszy mi — rzekł po przywitaniu.

Detektyw pozostał był nieco w tyle, przez dyskrety, a głównie, żeby się swobodnie rozejrzeć po pokoju. Spodziewał się zastać tu młodą kobietę. Zamiast niej, zobaczył jednak wysoką chudą postać barona de la Ronconlière.



I związał łańcuszkiem stalowym jak pakiet.

— Jaką drogą umknęła mi? — zapytywał siebie detektyw.

Baron, widząc wchodzącego ministra, powstał. On, rojalista, nie mógł znajdować się w jednym pokoju z ministrem republiki. Uważał jednak za stosowne wyjaśnić cel swej wizyty.

— Siedziałem bardzo blisko od pana Simonet'a, gdy zaszedł ten fatalny wypadek... Przyszedłem oznajmić, iż bardzo żałuję, że nie zauważyłem ruchu bandyty. Byłbym powstrzymał jego ramię i zbrodniarz znajdowałby się dziś w rękach sprawiedliwości. Przyszedłem też, żeby życzyć choremu szybkiego wyzdrowienia.

Skłonił się lekko i skierował ku drzwiom.

— Odprowadzę pana barona — rzekł Paulin Broquet.

Chciał pozostawić ministra samego z chorem, przytem musiał otworzyć baronowi drzwi, od których miał klucz w kieszeni.

— Pański postępek — panie baronie — rzekł doń po drodze — jest bardzo szlachetny. Wobec nieszczęścia zapomnia pan o osobistych urazach.

— Panie — odparł baron — jestem bardzo szczęśliwy, że życiu pana Simoneta nie grozi niebez-

pieczeństwo, gdyż powinien on zginąć nie od noża, lecz z mojej ręki.

— Od pchnięcia de la Ronconlière!

— Tak panie! — przyznał baron, podnosząc z dumą głowę.

Paulin Broquet skłonił się, z trudnością zachowując powagę, otworzył drzwi z klucza, wypuścił barona, poczem zamknął je z powrotem. Zamiast jednak skierować się w stronę pokoju chorego, otworzył ostrożnie inne drzwi, znajdujące się w przedpokoju i wszedł do ubieralni. Ani tu, ani w sąsiedniej łazience nie znalazł nikogo, nie dojrzał żadnych śladów hrabiny Wassowie, o której wiedział, że musi być w mieszkaniu. Szukał dalej — dotarł do jadalni. Tu uśmiechnął się i mruknął do siebie:

— Tędy przechodziła, czuć zapach perfum.

Obszedł pokój i kierując się wciąż zapachem miął kredens i wszedł do kuchni. Była pusta.

— Dziwne — gdzież jest służący?

Simonet nie jadał w domu i nie trzymał kucharki. Ale służący powinien był znajdować się w kuchni — lada chwila mógł go chorego potrzebować.

Drzwi na schody były otwarte — detektyw wyszedł — w klatce schodowej poczuł znowu zapach znanych perfum.

— Tędy więc uciekła piękna hrabina! Prawdopodobnie służący ją sprowadził.

Paulin Broquet zamknął i te drzwi na klucz. Poczem sunąc bez szelestu, jak cień, zbadał resztę mieszkania. Gdy wszedł do gabinetu Simoneta, zdziwił się bardzo. Tu zapach perfum czuć było silniej.

— Wygląda to tak, pomyślał Detektyw, jakgdyby ona tu jeszcze była.

Drzwi, które łączyły gabinet z sypialnią, zasłonięte były szeroką portierą. Paulin Broquet zbliżył się do nich i ujrzał, że były uchylone i słychać było głos ministra, rozmawiającego z Simonetem. Z portierą widać było jakiś kształt ludzki.

— To hrabina tu podsłuchuje — rzekł do siebie Paulin Broquet i zbliżył się, czołgając po podłodze do drzwi. Zdumiał się niesłuchanie, ujrawszy wystające z pod portierę — zamiast drobnych nóżek kobiecych — dwie duże stopy męskie.

— Dobrze! Rozumiem już!

Wyjął z kieszeni łańcuszek stalowy bardzo cienki i złożył go na dywanie. Potem podniósł się, zbliżył się jeszcze do drzwi. Wówczas skończył, pochwycił portierę obu rękami i szarpnął gwałtownie — portiera spadła na głowę podsłuchującego — detektyw powalił go na ziemię, owinał szybko w portierę i związał łańcuszkiem stalowym jak pakiet.

— Jeszcze jeden! — rzekł spokojnie do ministra, który przybiegł na hałas.

— Co się stało? — zapytał niespokojnie p. Desbois Billy.

— Odpowiedź, panie ministrze! Odpowiedź Paulin'a Broquet'a Zigmorowi! Portiera za frankę. Poczem dodał:

— Ten człowiek szpiegował, podsłuchiwał.

Ale nieszczęsny tymczasem dusił się, rzucił się rozpaczliwie w portierę. Detektyw zlitował się nad nim i odsłonił mu głowę. Zaledwie jednak ukazała się twarz więźnia — rozległy się dwa okrzyki:

— To Adolf! — zawołał Simonet. — Mój służący.

— Wicehrabia! Przyjaciół markiza Izigo Martolo! — powiedział Paulin Broquet.

Poczem zwrócił się do ministra i Simoneta.

— Proszę panów o nic mnie teraz nie pytać. Później, później opowiem wszystko...

Uwięziony jednak próbował protestować.

— Proszę pana — rzekł do Simonet'a — to jakiś niemądry żart. Ten człowiek się myli, nie jestem żadnym wicehrabią, jestem pana służącym. Proszę mu powiedzieć, żeby mnie rozwiązał.

— Dosyć! — rzekł żywo Paulin Broquet. — Leż cicho, bo ci zaknebluję usta.

Przekonawszy się, że więzy nie są rozluźnione, podszedł do telefonu, który stał na szafce nocnej.

— Pozwoli pan, że zatelefonuję. Muszę sprządnąć tu swych ludzi, żeby uwolnić pana od tego hultaja, a jednocześnie też dać panu innego służącego, którego będziemy pewni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)